

Gdzie to te czasy, gdy wieczór wracał z fabryki zmęczony i walił się na czysto zasłane łóżko, w matczyne pierzyny...

Miał chleb, miał pracę, a narzekał i nie cenił ani tego chleba, ani tej pracy a teraz, gdy nauczył się cenić, braknęło go na świecie dla niego.

Całą noc padał deszcz, zimny wiatr wdzierał się pod łachmany, od gorączki spękały wargi, żołądek bolał z głodu, szedł ku wsi i zataczał się jak pijany. Nie było w nim ani jednej myśli przytomnej, majaczenia jakieś drapieżnego, głodnego zwierzęcia ale nie człowieka.

Kurę, gdzie w opłotkach spotkać, przydusić i surowe mięso rozszarpać.

Dziecku jakiemu kromkę chleba z łapiny tłustej wydrzeć, jak to nieraz robił.

Bodaj psu kość odebrać.

Musiał usiąść na kamieniu przydrożnym, bo nogi go nie chciały, nieść dalej.

Ciepły wiatr nadpłynął gdzieś od równin i słońce się pokazało z za chmur. Od domów snuł się zapach kwiecia i chleba świeżo pieczonego, sobota była.

A jemu ten zapach szaleńcze nasuwał myśli...

Przed nim bielił się w cieniu wiśni domek więcej wiejski, niżeli wiejski o starannie gracych ścieżynach. Ot, takim dobrze, krwawa zazdrość wstawiała mu w duszy, przeżyło się w nim coś, jak zwierzę do skoku przyczajone, błędne oczy jak urzeczone krążyły wokół domku schowanego w zieleni.

A na pieńku przed domem leżała porzucona siekiera, ktoś drwarał i zostawił ją tam... Błyszczała teraz w słońcu. Nie mógł od niej oderwać oczu,

Wyjrzała przez okno i zobaczyła skuloną na kamieniu, wynędzniałą postać; po jej cichej, starczej twarzy przesunął się smutek.

— Tyle teraz nędzy na świecie a człowiekowi też ciężko...

Oj Boże, żeby to można było pomóc każdemu. Miała ładny domek, wybudowali go sobie jeszcze przed wojną, że zamieszkają w nim na stare lata, potem mąż umarł, emeryturkę miała maleńką, trzeba z niej było podatki zapłacić i żyć. Domu nie ugryzie, chciała odnajać, nie było komu. Chciała sprzedać, nikt się nie zgłosił a anonse kosztowały i w jej pięknym domku także mieszkała nędza. Były meble porządne, były kwiatki na oknach i ścieżki w ogródku wygracowane ale żołądek oszukiwała, jak mogła, a już ku pierwszemu, to całam jej pożywieniem najczęściej była szklanczyna lichej kawy i suchy kawałek chleba, nie potrzebowała wiele, a jednak i tego nie wiele brakowało nieraz.

A tam przed oknem siedział człowiek i zazdrościł jej całą duszą i mściwymi oczyma na siekierę patrzył a ręka drżała, by się w koło styliska zacisnąć...

Jego obłąkane, krwawe oczy spotkały się nagle z jej oczyma i cofnęły się...

Taki nędzarz, taki młody, głodny pewno...

Wzięła z blachy garnuszek mleka, przeznaczonego na jej własne śniadanie, tłumacząc samej sobie: — Stara jestem, obejść się mogę bez mleka.

Wkrajala kromkę chleba.